

**Izabela Filipiak, Aleksander  
Jurewicz, Krzysztof Koehler,  
Andrzej Stasiuk**

---

## **Ankieta "Tekstów Drugich"**

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (41), 113-119

---

1996

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

# Świadectwa

## Ankieta „Tekstów Drugich”

*Poniżej przedstawiamy odpowiedzi na ankietę, w której pytaliśmy pisarzy o znaczenie, jakie ma dla nich tradycja literacka, korzyści, jakie wnoszą z lektury prac krytyków oraz zachęcaliśmy ich do naszkicowania własnego manifestu.*

### Izabela Filipiak

*1. Noszę śmiesznie delikatne bluzeczki po mojej babci i jej dopasowane żakiety, na zmianę z obszernymi swetrami, koszulami dziadka ze stójką przy szyi, farbuję na nierówne, galaktyczne smugi antyczne fartuchy mojej mamy i martwię się, co nastąpi, kiedy zużyję całą tę garderobę...*

Niestety, mam wrażenie, że już się zużyła. Spór dobry jest na chwilę, lecz angażując się w niego na dłużej, zapominamy o tym, gdzie naprawdę chcieliśmy się znaleźć. Z drugiej strony odczuwam też pewną niechęć wobec tradycji używania tradycji — jako zespołu tematów, na które powołując się bezkrytycznie, można upewnić siebie i innych, że zrobiło się „wielką” literaturę. Ale też zwracanie się za wszelką cenę w stronę współczesności, wydestylowanej z historii, byłoby kolejnym zamknięciem się w kręgu antytez. Podobnie, umieszczanie

Polski w centrum własnych rozważań mogłabym skojarzyć z przeniesioną na literaturę zależnością od toksycznej rodzicielki, ale znów nie sugeruję, że można jej uniknąć poprzez sięganie po obce, światowe, bądź „uniwersalne”. Nie lubię słowa „tradycja” i wołałabym zastąpić je słowem „inspiracja”. Inspiracja to zachwyt wywołany rozpoznaniem wspólnego tonu, niespodziewaną bliskością odczytanego gdzieś motywu. To piękne słowo, które sugeruje początek, dopełnienie i jego niezwykłą lekkość.

2. Głos krytyka często mnie zaskakuje. I często dopowiada rzeczy, które sugerowałam jak najdelikatniej. Takie odczytania mnie cieszą. Dzięki nim książka i odpowiedź na nią stają się czymś w rodzaju rozmowy. Gdyż nie jest to wyłącznie efekt lustra, w którym zobaczyć mogę swój własny tekst. Nie. Ponieważ niewiele zostawiam sobie do ukrycia, cieszy mnie, gdy krytyk reaguje swoją własną otwartością. Nie interesuje mnie żonglerka literackim kanonem, lecz „osobiste” odczytanie tekstu. W tym sensie to, że Jerzy Sosnowski odnalazł w sobie małą dziewczynkę, odczułam jak wielką nagrodę i bardzo ważne dopełnienie po napisaniu *Absolutnej Amnezji*. Cieszę się najbardziej wtedy, gdy osoba, podejmująca się pracy krytycznej, odsuwa na bok własne nawyki, przyzwyczajenia, nawet oczekiwania, rezygnuje ze skłonności do uproszczeń, a zatem z lęku przed tym, co nieznanne, a nawet nieokreślone — by zbliżyć się do tekstu. Jeśli się na to zdobędzie, tekst krytyczny staje się sztuką, a jego lektura — wymianą myśli, czasem nawet uczuć. Uśmiechu. Bólu. Intymności. Lecz czasem dzieje się wręcz przeciwnie i w tym wypadku tekst krytyczny nie mówi już o literaturze, tylko o jaźni krytyka. Jeśli jest lustrem, to takim, które uniemożliwia grę odbić, w którym wyłącznie sam może się przejrzeć. Jakie nadużycia zdarzają się czasem w recenzjach pisanych jakoś zupełnie obok i bez związku z tekstem, o którym podobno się pisze... Jakie zadowolenie z siebie, że tak też można pisać... A przecież tekst krytyczny, który nie dotarł do tekstu, nie znajdzie drogi również do czytelnika. Albo też — znajdzie, ale tylko na poziomie powierzchownego, nic naprawdę nie znaczącego kontaktu. Owszem, tekst literacki istnieje niezależnie od intencji autorskich. Ale ja mówię o czymś innym. Mówię o przeniesieniach. O przeniesieniach, które utrudniają lub uniemożliwiają kontakt z tekstem, podobnie jak uniemożliwić mogą kontakt z drugim człowiekiem. Wtedy zostaje wrażenie pustki, a nie o nią przecież chodziło.

Trzeba też wspomnieć o sytuacjach, kiedy krytyk „zapomniał” przeczytać „omawianego” tekstu. Jak w szkole. Nie przygotowałem się do lekcji, ale spróbuję coś zamarkować. Takie recenzje zdarzają się niezadko, lecz ich lektura wywołuje we mnie wciąż podobne uczucie zażenowania. Czy nie jest łatwiej słuchać własnego głosu, zamiast podążać za głosem większości? Zaprawdę, nie. Pisanie tekstów krytycznych wymaga zakreszenia w sobie obszaru wewnętrznej odwagi, nie tej desperackiej, ale innej, która wynika ze spokoju. Podobnie jak pisanie książek. Niestety.

3. Każdy tekst jest nowym doświadczeniem i to, co jego dotyczy, nie będzie już, albo nie w tym samym stopniu będzie dotyczyć następnego. Czy w takim razie i literatura, jako taka, jest odkrywaniem nowych pól, rejonów, doświadczeń? Wiem, że nowy temat, jego implikacje, czy będzie to emigracja czy dzieciństwo, chcę zgłębić do końca, czy raczej do kresu moich możliwości w danym momencie. Zawsze jednak łączy się to z rozszerzaniem własnych granic — rozumienia, pojmowania i akceptowania. Nie wiem, jak bardzo nie oszukuję się mówiąc, że chcę być otwarta na doświadczenie, jakim jest nowy tekst. Bez uprzedzeń, lub też przy akceptowaniu faktu, że wciąż mam „uprzedzenia”. Bez autocenzury i pomimo lęku, objawiającego się czasem w pytaniu, jak to zostanie odebrane. A co zrobić z chwilami, kiedy boję się własnego tekstu? W końcu potrzebny jest też dystans, wbudowany zresztą najczęściej w narracyjną formę, w głos, który opowiada. Ostatnio myślałam, że w twórczości najważniejszy jest proces, to, co dzieje się w trakcie, nie to, co jest efektem końcowym. Ale teraz już tak nie myślę. Bez końcowego efektu, ostatecznego sprawdzenia się w konkretnej formie druku, książki, pisanie staje się tylko narcystycznym przeżyciem. Co jest ważne — stan świadomości. Mojej prywatnej i świadomość tego, że piszę dla ludzi. Jakaś pewność. Jakaś pokora. Chciałabym nigdy nie przestać się uczyć — czy, jak kto woli, poznawać — tajemnic warsztatu, innych ludzi, świata. Wystarczy tylko wyznaczyć sobie kierunek. Określić go — mniej więcej. Na tyle, by można go było zmienić. Nie trzymać się go sztywno. Ani niczego innego. Być.

## Aleksander Jurewicz

Nie wiem, jakiemu pomieszaniu genów uległem, zapadając na tę „piękną chorobę”, jak nazywają pisanie, choć gdyby można było, to chętnie skasowałbym przymiotnik i zostawił samą „chorobę”. Stało się i nic na to nie poradzę, i tak żyję od jednego pisania do następnego. To jest mój kalendarz biologiczny. To jest życie w zamkniętym układzie pomiędzy ręką trzymającą ołówek HB a poliniowanym notatnikiem. To jest mój krwiobieg, choć atlas anatomiczny przedstawia sprawę inaczej. Ale na to też ani nic nie poradzę, ani nie mam wpływu.

Zanim przeczytałem bibliotekę i sporo z niej we mnie się odłożyło, dwie książki (prawie ćwierć wieku temu) były dla mnie na początku najważniejsze i nadal polecam je młodym piszącym. Mówię o *Modelkach* Zbigniewa Bieńkowskiego i *Dalej aktualne* Tomasza Burka. Dlatego, zdaje mi się, że mam pewne wyobrażenie krytyka literackiego i kogoś piszącego o literaturze, i pewnego poziomu pisania krytycznego. W każdym razie ktoś piszący o literaturze nie powinien zachowywać się jak stolarz z zakładu usług pogrzebowych, co niestety teraz często ma miejsce i prawdziwych krytyków literackich zastąpili usługowi publicyści literaccy, którym się zdaje, że wystarczy skończyć dwa semestry polonistyki, by zajmować się czymś tak trudnym jak literatura. Piszę o tym z dystansu, bo nie mam powodu (odpukać!) lamentować, ale zwracam uwagę na pewien poziom i styl pisania. Prawdopodobnie powoli zaczyna się przejaśniać, ale niektórym „autorytetom krytycznym” pozostało jeszcze do zaliczenia tych parę semestrów, czyli trochę czasu na naukę od innych, trochę wysiłku i podniesienia ambicji. Pokora wobec własnej roboty obejmuje jednakowo pisarza i krytyka.

Za moim pisaniem nie stoi tylko Kochanowski, Mickiewicz, Rimbaud, Czechow, Proust, Faulkner, Camus, Marquez, Konwicki, Różewicz i cały szereg bibliotecznych regałów, ale też rodzice (mama ze swoim Panem Bogiem, ojciec nad swoją maszyną do szycia „Singer”), miłości, alkohol, samotność, muzyka włoskiego baroku i Beatlesi, bezsenność, paru łajdaków, których spotkałem i spotykam nadal, paru przyjaciół przedwcześnie umarłych, filmy (od *Lecą żurawie* po *Czerwony*), sny, deszcze, parę zapamiętanych pejzaży, kilka marzeń z dzieciństwa. Nie umiem oddzielić jednego od drugiego. To ciągle trwa w tym układzie zamkniętym pomiędzy ręką z ołówkiem HB a..., i tak dalej.

Gdańsk, 26 maja 1996 r.

## Krzysztof Koehler

### 1. Tradycja

Tradycja, parafrazując myśl Norwida, to Obowiązek. On mówił to o Ojczyźnie, ale jaka inna może być Ojczyzna dla poety? W zasadzie też chętnie powiedziałbym o Ojczyźnie, Pamięci, Trwaniu w Cieniu i Śladach, fundujących poczucie przynależności narodowej. Pamięć tradycji jest pamięcią Tożsamości, takim najdrobniejszym fundamentem, od którego można budować swój wybujały indywidualizm.

Wierzę, i przekonuję się, że Tradycja mieszka nie tylko w zachowaniach zbiorowych, wspólnotowych; tradycja, kiedy uprawia się poezję, trwa też w języku, w historii słów. Wydaje mi się szarganiem Mowy Polskiej, kiedy mówiąc nią, Poeta nie czuje echa, głosów zza pleców. Taki głos zza pleców prosi: nie nawal, nie zrób mi krzywdy, ale też grozi: zrób coś inaczej, a zginiesz.

Nie chcę zginąć, chcę zostać. Dlatego świadomie i z pokorą umieszczam swój głos w echu, w chórze. Jakoś w ten sposób ocalałem się, swoje zatrudnienie poety, ale też — zarazem — winduję się, chcę być słuchany, chcę — bardziej pokornie i kornie — mówić do Ciebie, na przykład Anno Nasiłowska czy też Jacku Kopciński, ale nie słuchaj mnie ze względu na oryginalność mego głosu, jego modulację niezwykłą, seplenienie czy nowość: słuchaj mnie, bo chcę mówić do Ciebie głosem także tych, których już nie ma.

Takie podejście łączy się z odpowiedzialnością. Używać więc języka w poczuciu odpowiedzialności, przedłużając — wędrować w przód.

### 2. Krytyk.

Nic nowego. Erudycja i brawura, odwaga (tego krytyce polskiej brak w większości, mówię o tej młodej krytyce) i żelazna naukowa dyscyplina. Przede wszystkim jednak, nie wiem jak to wyrazić, ucieczka od papieru, papierowości, polonistyczności. Wydaje się mi, przepraszam, że aż tak, że krytyk, autentycznie, tak jak i dobry artysta, najpierw powinien nauczyć się żyć, najpierw winien poznać jakąś inną realność niż świat papierów.

Idealna byłaby dla mnie krytyka o określonym i wyraźnym wartościowaniu dzieł. Na nic krytyka „fenomenologiczna”. Zatem więc: jakiś fundament, fundamentalizm estetyczny, który pozwala ustalić busołę, a potem dopiero praca pisarska. Jakiś wzór?

Trudno nazwać Macieja Urbanowskiego z „Arcanów” wzorem. Jako jedyny chyba jednak, spośród krytyków których znam, łączy powyższe

cechy i wiem — z rozmów i cichej intencji tekstów — że odrzuca on krytykę salonowych pogaduszek ubranych w metaforyczny przyrodziwek werbalny „romansów z tekstem”.

Romansować to sobie można z dziewczyną, proszę Państwa.

### 3. Poetyka

Horacy. Horacy. Horacy. Może Arystoteles. *List do Pizonów* uczy dystansu, rzemiosła i pokory. Pokory wobec dokonań tych, co przed Tobą. Dystansu do samego siebie — poety. I rzemiosło: celowe używanie języka, panowanie nad swymi wzruszeniami, kielznanie ich, nie wyrzekanie się potwornych rozsadzających emocji (Eros, Piłka Nożna, Hymn Narodowy, *Boże coś Polskę*, Zbawienie Wieczne), ale przekształcanie tych emocji w metafory, w formę, w sztukę. Wiele klęsk, kilka wlotów. Piszę program, a nie wspomnienia, więc mogę. Zatem i cel mogę śmiało wyznaczyć: używanie mowy w celu apostołskim, prosto mówiąc: mówić, zabierać czas człowiekowi (czytelnikowi czy też odbiorcy), nie po to, by go oszołomić, zaskoczyć, czy zdziwić, ale po to, by mu pomóc. Znaleźć Prawdę. Głównie jednak Pomóc.

Innej mowy nie używać.

Nazwałem ten program minimum „Partyzantem Prawdy”. Nie potrafię być kapłanem czy też bojownikiem Prawdy. Bo bardzo rzadko udaje się mi być Dobrym.

Partyzanci nie stoją na pierwszej linii. Działają z ukrycia, w cieniu, tylko czasami w pełnym słońcu. Partyzantem zostaje się wtedy, kiedy znany jest układ sił: przewaga przeciwnika i własne możliwości.

Dobrym się nie jest, dobrym się bywa.

Norwid otwierał zatem i kończy to moje słowo. Tradycja żywa. Co było do dowiedzenia.

## Andrzej Stasiuk

1. Nie bardzo wiem, co to znaczy „najszerzej rozumiana tradycja”. Czy to są wszystkie książki które przeczytałem, wszystkie książki, o których słyszałem, albo po prostu wszystkie książki, które zostały napisane?

Przecież w tej „najszerzej rozumianej tradycji” mieszczą się również wszystkie zasłyszane opowieści, wszystkie odmiany żywego języka, wszystkie narracje wysłuchane bądź podsłuchane w życiu. Od babcinych opowieści o duchach po inteligentny bełkot spikerów telewizyj-

nych; od „Daj ac ja pobruszę, a ty poczywaj” po „kobieta daje szczęścia na chwilę a potem gryzie jak leśny wąż” Stanisława Grzesiuka; od prozy Zygmunta Haupta po mamrotanie pijanych facetów, którzy rozplývają się w swojej gadce tak, jak bohaterowie Raymonda Rousseła przepadają w języku; od *Wykopu* Andrieja Płatonowa po przemówienia prowincjonalnych notabli i redaktorów mojej prowincjonalnej gazety, próbujących wyrazić swoje myśli w sposób „powszechnie uznany za elegancki i wytworny”; od Bohumila Hrabala po opowieści znajomego prokuratora powiatowego o cudach ludzkiego losu i ludzkiej pomysłowości itd. itd. itd...

Więc może jednak trochę jest tak, że:

żadna tradycja nie stoi za oknem.

Tak, za oknem ni chuja tradycji.

To oczywiście parafraza wiersza o ideach, napisanego wspólnie przez trzech Marcinów poezji polskiej.

2. Nie wiem, „jakie pożytki wyciąga z lektury prac krytyków współczesny pisarz”. Nie znam tego pana. Jeśli chodzi o mnie to owszem, bardzo lubię czytać krytyków, zwłaszcza gdy dobrze piszą o moich książkach, a źle o książkach kolegów po piórze. Pożytku oczywiście z tego żadnego nie ma, ale jest przyjemność.

A poza tym, to czytam krytykę tak, jak resztę literatury i przykładam do niej miarę literacką, estetyczną, stylistyczną. Jeśli coś jest dobrze napisane, to ma wartość niezależnie od przedmiotu, którym się zajmuje. Od „co” bardziej interesuje mnie „jak”. Może to jest skrzywienie zawodowe, a może pewna ociążałość etyczna, niechęć do poszukiwania wartości w dziedzinie tak bezwartościowej i w gruncie rzeczy zbędnej jak literatura. Te wszystkie sprawy jak sens, prawda czy właśnie wartości są produktami ubocznymi języka. Kto wie, czy nie są po prostu jego odpadami. A krytyka w swej przeważającej części z uporem wartym lepszej sprawy szuka w literaturze wskazań moralnych czy egzystencjalnych. Natomiast samą literaturą raczej się nie zajmuje. Przypomina to trochę rozmowę głuchych o muzyce.

### 3. Mój „manifest literacki”?

Pisać, skreślać, myśleć, patrzeć, słuchać, pisać i skreślać, skreślać, skreślać... A poza tym niezależnie od sytuacji dobrze jest się napić.